

### XIII. SPOŁECZEŃSTWO FRANCUSKIE DRUGIEJ POŁOWY XX WIEKU

Nasza rola polega właśnie na takim wyborze drogi, aby działania zgodne z tendencją historii dokonywały się zarazem racjonalnie i pokojowo.

(Valéry Giscard d'Estaing)

DEMOGRAFIA, EKONOMIA,  
STRUKTURY SPOŁECZNE

LATA powojenne przyniosły kres stagnacji demograficznej nadającej Francji sklerotyczne oblicze. Próbowano z nią walczyć w ostatnich latach Trzeciej Republiki (m.in. w przepisach *Kodeksu rodzinnego* z 1939 r.); potem pronatalistyczną politykę prowadził reżim Vichy. Jednakże dopiero inicjatywy de Gaulle'a z czasu pierwszych jego rządów przyniosły skutek trwały. Dobra polityka pronatalistyczna była kosztowna, lecz skuteczna: wysokie dodatki rodzinne, ochrona matki i dziecka, polityka podatkowa sprzyjająca przyrostowi urodzeń. W sumie świadczenia socjalne na rzecz postępu demograficznego osiągnęły w pewnym momencie 5% dochodu narodowego!

Oczywiście, sprzyjał owemu postępowi *boom* ekonomiczny od początku lat pięćdziesiątych. Rozbudzał optymizm i wiarę w lepszą przyszłość dzieci, zmieniał mentalność Francuzów tak, że ich skłonność do „maltuzjańskich” praktyk systematycznie malała. W 1946 r. kraj liczył niewiele ponad 40 mln ludności, w 1968 r. ludność Francji przekroczyła już 50 mln. Ten 10-milionowy przyrost w ciągu 22 lat równy był całemu przyrostowi ludności z lat 1800–1946! Prawda, że od połowy lat siedemdziesiątych wskaźniki postępu demograficznego osłabły. Złożyły się na to różne okoliczności: zaniepokojenie recesją ekonomiczną i bezrobociem, legalizacja aborcji i ułatwienie rozwodów w 1975 r., rosnąca moda na kohabitację w obyczajowym, a nie politycznym rozumieniu tego słowa, to jest na niesformalizowane i nietrwałe związki młodych ludzi. W rezultacie tempo przyrostu ludności w ostatnim trzydziestoleciu spadło: w 2004 r. Francja osiągnęła jednak próg 62 mln.

Społeczeństwo bardzo się po wojnie odmłodziło. Młodzież do lat 20, która w 1946 r. stanowiła 29,5% ogółu populacji, w 1966 r. osiągnęła wskaźnik 34%. Ale od lat siedemdziesiątych proporcja zaczęła się znów pogarszać, w latach osiemdziesiątych młodych poniżej dwudziestki było już niespełna 30% (to trochę mniej niż w kryzysowych latach trzydziestych), w latach dziewięćdziesiątych wskaźnik ten spadł do 26–27%. Bardzo też wzrosła proporcja ludzi starszych, powyżej 65 lat (przed wojną 9–10% populacji, w latach dziewięćdziesiątych ok. 15%). Demografowie alarmują, że w połowie XXI w. na dwu pracujących przypadnie jeden emeryt.

Na struktury demograficzne wpływa bowiem nie tylko stopa urodzeń, ale i spadek śmiertelności. Imponująco zmniejszyła się śmiertelność dzieci, w porównaniu z latami trzydziestymi niemal dziesięciokrotnie. Ale też systematycznie zwiększała się przeciętna długość życia. Dla mężczyzn na początku XX w. wynosiła ona 45 lat, przed 1939 r. – 56 lat, natomiast w 1966 r. już 68 lat, w latach dziewięćdziesiątych – 73 lata. Francuzki są jeszcze bardziej długowieczne, mają dziś szanse przeżycia lat z górą osiemdziesięciu.

Wzrost liczby ludności wynikał także z rosnącej liczby imigrantów. Tuż po wojnie we Francji było 1,8 mln cudzoziemców, do lat dziewięćdziesiątych ich liczba się podwoiła. Ale i tu od lat osiemdziesiątych nastąpił lekki spadek: prawica francuska jest imigracji niechętna.

Bez wątplenia postęp demograficzny i rozwój ekonomiczny są współzależne: szybki przyrost ludności był potężnym uderzeniem, które pobudziło procesy ekonomiczne. Dynamicznie rosły społeczne potrzeby, rosła też wydajność pracy, zmniejszała się tradycyjna francuska skłonność do oszczędzania. Coraz większy udział młodych ludzi w populacji aktywnej zawodowo sprzyjał wyraźnie tendencjom innowacyjnym w gospodarce. Francuzów jest coraz więcej, ale wskaźniki ekonomiczne pokazują, że żyje im się obecnie dwa lub nawet trzy razy lepiej niż w trudnych latach tuż powojennych. Tak np. wzrosła siła nabywcza płac robotniczych.

Jednakże pojęcia ubóstwa i dostatku są przecież względne, w miarę ekonomicznego postępu wymagania rosną. Przeciętny Francuz, jak wskazują sondaże, sądzi, że podział narodowego bogactwa jest ciągle nazbyt nierówny. Wszelako jest to bogactwo nieustannie i efektywnie rosnące. Francja stała wreszcie do światowej rywalizacji, przyjęła wyzwanie rewolucji naukowo-technicznej, modernizowała swój aparat produkcyjny. W latach 1938–1968 produkcja rolna podwoiła się, później rosła już wolniej przy ogromnym spadku udziału rolników w populacji aktywnej zawodowo (w latach siedemdziesiątych jeszcze 8%, w dziewięćdziesiątych 4%). Aby podwoić produkcję przemysłową Francji z 1872 r., trzeba było trzydziestu lat (1872–1902). Podwojenie produkcji przemysłowej z 1902 r. zajęło aż 50 lat: to skutek dwu wojen światowych i wielkiego kryzysu pomiędzy nimi. Ale podwojenie produkcji przemysłowej z początku lat pięćdziesiątych wymagało już tylko dziesięciolecia! Poziom tej produkcji z 1938 r. odbudowano w 1947 r., podwojono w 1957 r. W 1964 r. wzrost był już trzykrotny, w 1971 czterokrotny, pięciokrotny w 1988... Co więcej, ta zawrotna dynamika osiągnięta została przy stosunkowo niewielkim przyroście liczby ludności aktywnej zawodowo. Było jej u schyłku lat czterdziestych ok. 19 mln, w latach dziewięćdziesiątych trochę ponad 22 mln. Dzisiaj pod względem wartości PKB Francja wciąż jest w czołówce państw świata.

Ta ekspansja produkcyjna ogromnie zwiększała zapotrzebowanie na energię. Francja tradycyjnie cierpi tu na deficyt. Przed wojną wynosił on ok. 40%; w 1973 r., tuż przed kryzysem naftowym, potrzeby energetyczne kraju prawie w 80% uzależnione były od importu. Był to bowiem czas taniej ropy

(sama Francja produkowała tylko ok. 3 mln ton, ale jej rafinerie przetwarzały ok. 65 mln ton). W bilansie energetycznym udział ropy sięgnął w 1970 r. 60%. Jednocześnie katastrofalnie spadło wydobycie węgla i zmniejszył się jego udział w bilansie energetycznym (przed wojną ponad 80%, w 1970 r. zaledwie 25%). Wielkie nadzieje pokładano w eksploatacji gazu ziemnego: niezupełnie się one spełniły. Rozbudowano bardzo kosztowne konstrukcje hydroenergetyczne i w końcu lat sześćdziesiątych produkcja białych elektrowni niemal się zrównała z produkcją elektrowni termicznych. Eksperymentowano z wykorzystaniem energii słonecznej i energii ruchów morza. Wszystko to nie stanowiło jednak recepty na deficyt własnych nośników energii.

Tymczasem u schyłku 1973 r. skończył się czas taniej ropy: eksporterzy nagle podnieśli przeszło trzykrotnie jej cenę. Potem, pod koniec lat siedemdziesiątych, znów eksporterzy podwoili ceny ropy. Zagroziło to ogromnym wzrostem inflacji i deficytu w handlu zagranicznym. Trzeba było znaleźć odpowiedź na to wyzwanie w energooszczędnych technologiach i, przede wszystkim, w znacznie mniejszym uzależnieniu Francji od importu nośników energii.

Receptę znaleziono w energii atomowej. Od dawna Francuzi kładli podwaliny pod atomistykę (Henri Becquerel, małżeństwo Curie, Fryderyk Joliot, Francis Perrin i inni). Dzięki de Gaulle'owi po 1945 r. nastąpił szybki rozwój atomowych ośrodków badawczych (Saclay, Fontenay-aux-Roses, Grenoble). Pracowano nad militarnym, ale i ekonomicznym zastosowaniem energii jądrowej, powstały wielkie centra produkcji uranu 235, plutonu, ciężkiej wody (Pierrelatte, Marcoule, Mazingarbe). Dzięki temu w obliczu kryzysu naftowego można było szybko rozbudować całą sieć bezpiecznych elektrowni jądrowych. Pod rządami Giscarda powstało ich ponad czterdzieści. Dziś energia jądrowa pokrywa 75% potrzeb kraju.

Atomistyka jest więc efektywnym przykładem nauki wprzęganej w służbę gospodarki. Symptodem rewolucji naukowo-technicznej był we Francji kolosalny (za pierwszej kadencji prezydenckiej de Gaulle'a sześciokrotny) wzrost nakładów na badania naukowe i postęp techniczny. Państwo, finansujące  $\frac{2}{3}$  badań, przeznaczało na ten cel około 5% wydatków budżetowych.

Pilotowały postęp techniczny atomistyka, elektronika, niektóre działy wielkiej chemii. Gruntownie się zmodernizowały telekomunikacja (od lat siedemdziesiątych) oraz przemysł: elektroniczny, samochodowy, maszynowy, lotniczy. Stopień koncentracji przemysłu był nadal niższy niż w innych krajach najwyżej uprzemysłowionych: jeszcze u schyłku lat sześćdziesiątych 15% zakładów wytwórczych zatrudniało mniej niż 4 pracowników, wielkich zakładów (powyżej tysiąca pracowników) było tylko ok. 700. Ale właśnie od przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych presja Wspólnego Rynku wpłynęła na szybki postęp koncentracji. Dokonała się wówczas fuzja wielu gigantów. Dwie korporacje, Wendel-Sidelor i Usinor-Lorraine-Escout, zaczęły kontrolować 70% produkcji stali! Koncentracja następowała w przemyśle materiałów budowlanych, samochodowym,

maszynowym, elektronicznym. Wielkie grupy chemiczne (Rhône-Poulenc, Péchiney-Ugine) i materiałów budowlanych (Saint-Gobain – Pont-à-Mousson) osiągały gigantyczne rozmiary. Nawet przemysły spożywczy i tekstylny zmniejszyły wydatnie swe tradycyjne rozproszenie.

Piąta Republika faworyzowała owe procesy koncentracji całym systemem przywilejów, polityką finansową i podatkową. Dużo mówiono przy tym i pisano o konkurencyjności francuskiego przemysłu, o potrzebie tworzenia barier przed dominacją obcego kapitału. Na lewicy z kolei ostrzegano przed niebezpieczeństwami oligopolu, dyktatu ekonomicznego (a w konsekwencji i politycznego) oligarchii kapitalistycznej. Państwo zachowało jednak istotny wpływ na strategię wielkich grup biznesu, m.in. dzięki wciąż silnej pozycji sektora publicznego w gospodarce (energia, wielka część transportu i przemysłu lotniczego,  $\frac{1}{3}$  przemysłu samochodowego, silny państwowy aparat bankowy...). Przed przejściem władzy przez lewicę w 1981 r. sektor publiczny kontrolował ok. 18% produkcji, później wzrósł aż do 32%. Reprywatyzacje zredukowały go do ok. 20%: to znacznie więcej niż w innych krajach Zachodu. Ale francuska prawica jest powściągliwsza od innych w prywatyzacyjnym zapale.

Wspaniała ekspansja francuskiego przemysłu nie zmienia faktu, że w produkcji krajowym brutto, kolosalnie rosnącym, udział produkcji przemysłowej zmniejsza się, natomiast rośnie udział usług. Podobnie jak inne najwyżej rozwinięte kraje, Francja wkroczyła w erę społeczeństwa postprzemysłowego. Na początku lat dziewięćdziesiątych w przemyśle pracowało niespełna 7 mln ludzi, w usługach ponad 14 mln (ogólna liczba ludności aktywnej zawodowo – ponad 22 mln). Jednakże nie oznacza to wcale wzrostu liczby ludzi pracujących samodzielnie, w drobnych i średnich przedsiębiorstwach. Rola pracowników najemnych („salariačiu”) wśród ogółu aktywnych zawodowo systematycznie rośnie przekraczając 80%. Robotnicy w tej kategorii stanowią ledwie 30% (trzydzieści lat temu jeszcze 39%). Znamienne, że niewiele mniejszy udział (28%) mają wśród „salariačiu” funkcjonariusze publiczni. Potentatem jest tu edukacja z milionową armią nauczycieli i profesorów. Wielką rolę w sektorze usług odgrywają kobiety: w sumie stanowią ok.  $\frac{1}{3}$  populacji aktywnej zawodowo, lecz w szeroko rozumianych usługach ich procent jest znacznie wyższy.

Rolnictwo francuskie nader boleśnie, a nawet nie bez wstrząsów, przeżywało imponujący proces modernizacji. Jeszcze 40 lat temu z rolnictwa żyło ponad 5 mln ludzi (27% ludności pracującej), teraz – około miliona (ponad 4%). Dokonało się radykalne zmniejszenie liczby gospodarstw rolnych, zwłaszcza najmniejszych, poniżej 5 ha; rosła rola gospodarstw średnich, powyżej 20 ha (ok. 30% całej liczby gospodarstw) i powyżej 50 ha (blisko 20%). Owe większe gospodarstwa zajmują dużo ponad 80% powierzchni uprawnej.

Nasylenie rolnictwa traktorami, kombajnami, chemią rolniczą, nowoczesnymi technikami agrarnymi pozwoliło w ostatnich dziesięcioleciach osiągać imponujące przyrosty produkcji rolnej (średnio ponad 3% rocznie). Francuskie rządy zazdrośnie strzegły interesów własnego rolnictwa w konflikto-

wych sytuacjach, stwarzanych przez politykę ekonomiczną Wspólnego Rynku i UE.

Od lat pięćdziesiątych społeczeństwo francuskie szybko zaczęło nabierać cech nowoczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego. Płace realne, jak sygnalizowaliśmy, wzrosły w tym okresie dwu- i trzykrotnie. Jeszcze przed czterdziestu laty udział żywności w budżetach rodzinnych wynosił ok. 40%; spadł on – w tym kraju, uwielbiającym dobre jedzenie – do dwudziestu kilku procent. Upowszechnił się wzorzec nowoczesnego komfortu: samochód, lodówka i pralka, elektronika domowa stały się powszechnie dostępne. Przestały być luksusem domki letniskowe, choćby o skromnym standardzie, i turystyka zagraniczna.

Szczególnie imponujący postęp dokonał się w mieszkalnictwie, bo zapóźnienia były tu ogromne. W latach międzywojennych nie budowano wiele, potem przyszła wojna i powojenna bieda – a zarazem ogromne potrzeby wynikające z wyżu demograficznego. Struktura zasobów mieszkaniowych jeszcze na początku lat sześćdziesiątych była bardzo przestarzała: tylko 40% mieszkań w miastach miało wszystkie wygody, niemal co siódme mieszkanie było pozbawione wody bieżącej! Ale od 1960 r. zaczęto szybko nadrabiać to cywilizacyjne opóźnienie: budowano ponad 400 tys. mieszkań rocznie. Znikły ohydne osiedla „domów z blaszanek”, *bidonvilles*, w których gnieździł się najubożsi, głównie robotnicy cudzoziemscy. Już w połowie lat siedemdziesiątych praktycznie wszystkie mieszkania miały bieżącą wodę, dwie trzecie mieszkań – łazienki i w.c., połowa – centralne ogrzewanie. Do dziś systematycznie znikają nędzne hotele i rudery dające schronienie „gastarbeiterom”.

Nadal uprzywilejowane są, co do poziomu materialnego, północ i wschód kraju. Pretensje i roszczenia regionów stagnacyjnych nasila się w latach siedemdziesiątych i zaczęły przybierać zabarwienie polityczne w postaci krwawego separatyzmu korsykańskiego i łagodniejszych tendencji do autonomii, bretońskich na północy kraju, oksytańskich na południu. Wyrównywanie dysproporcji regionalnych nie przyniosło spektakularnych rezultatów. Biurokratyczny i centralistyczny styl działania aparatu państwowego nie sprzyjał pełnemu wykorzystaniu możliwości różnych regionów: ich bogactw naturalnych, położenia geograficznego, warunków demograficznych. Nie brak lekceważenia potrzeb lokalnych. Zbyt mało uwagi poświęcano ochronie środowiska (ministerstwo do spraw ekologii powstało dopiero w 1971 r., i to z bardzo skromnym budżetem) oraz zagospodarowaniu przestrzennemu (*aménagement du territoire*).

De Gaulle spostrzegł wprawdzie, że jedną z przyczyn wydarzeń majowych 1968 r. był blokujący rozwój inicjatyw lokalnych biurokratyczny centralizm. Jego projekt reformy regionalnej załamał się jednak w wyniku przegranego referendum z kwietnia 1969 r. Jest zasługą socjalistów, że w 1982 r. przeprowadzili gruntowną reformę organizacji terytorialnej kraju. Dokonała się dość głęboka decentralizacja zarządzania, regiony, departamenty i gminy

miały odtąd samorząd o znacznych uprawnieniach. Trwają jednak ciągle dyskusje i pretensje wokół lekceważenia przez centralne elity władzy potrzeb lokalnych i nierównomierności rozwoju kraju.

*La grande bourgeoisie*, osłabiona i po części skompromitowana w okresie wojny, potrafiła w pełni skorzystać z „cudu gospodarczego” lat powojennych. W latach czterdziestych trwało jeszcze pewne spłaszczenie sytuacji materialnej różnych grup społecznych – wskutek wojennej pauperyzacji, a potem rozwoju świadczeń socjalnych. Później pauperyzacja znikła, ale dystanse społeczne znów zaczęły się wydłużać. Elita bogactwa odzyskała swą potężną pozycję i doskonałe samopoczucie, jej związki z elitą polityczną w Piątej Republice ogromnie się zacieśniły, na skalę nie znaną w latach Czwartej Republiki. Generowało to liczne skandale korupcyjne, w które wplątywali się politycy i technobiurokraci bardzo różnych orientacji, na prawicy i na lewicy... Sporą część owych skandali zręcznie jednak tuszowano lub amnestionowano.

Wzrost gospodarczy znacznie gorzej się przysłużył drobnym przedsiębiorcom i kupcom. Masowa produkcja przemysłowa i ekspansywne supermarkety nie zdusiły ich co prawda, lecz przeredziły ich szeregi: przed 40 laty stanowili oni ok. 11% populacji aktywnej zawodowo, u schyłku stulecia już tylko 7%. Zagrożenie odczuwano już wcześniej, w latach pięćdziesiątych: jego symptomem było – krótkotrwałe zresztą – powodzenie Poujade’a i jego Unii na Rzecz Obrony Kupców i Rzemieślników, która w wyborach 1956 r. zgarnęła 10% głosów. Także i później zaniepokojenie drobnych patronów przekładało się na działania polityczne. Na fali strajków kupców i rzemieślników z 1969 r. wyrosła podobna unia obronna Gerarda Nicoud, jeszcze później frustracje drobnych patronów będą ich orientować w stronę Frontu Narodowego. Pod rządami Pompidou władze zaczęły jednak energicznie wspierać drobnych producentów i kupców; rezultaty były wyraźne, choć zapewne nie na miarę oczekiwań zainteresowanych. Ostatecznie supermarkety nie zdławiły sklepików, a wielki przemysł drobnych producentów. Wspierała ich klientela: Francuzi, nawet kosztem paru franków, skłonni byli dochowywać wierności „swojemu” sklepikowi spożywcemu, krawcowi, a już zwłaszcza swojemu bistro. Turystyczny *boom* sprzyjał małym agencjom podróży, hotelikom, taksówkarzom.

Do warstw średnich zaliczyć wypadnie lepiej uposażoną nierobotniczą część „salariału”. Wzrost ekonomiczny premiował zwłaszcza tak zwane *cadres*, a więc personel kierowniczy w przemyśle i usługach. Ich rola w procesach zarządzania, organizacji pracy, produkcji stale rosła, a z nią także ich zarobki. „Kadry” zbuntowały się wprawdzie w maju 1968 r., ale chodziło wówczas nie o ich zarobki (które w poprzedniej dekadzie wzrosły trzykrotnie), lecz o uznanie ich socjoekonomicznej roli. Szybko rosły dochody wolnych zawodów, zwłaszcza tych, które obsługiwały dynamiczny świat biznesu.

Na tle głębokiej restrukturyzacji rolnictwa bardzo się zmienił wizerunek warstwy chłopskiej. Powszechny wzrost prosperity na wsi odczuwano słabo: w początkach lat sześćdziesiątych przeciętne dochody rodziny chłopskiej

wynosiły 55% średniej krajowej! W uboższych regionach (środkowa Francja, Bretania) rozdrobnienie gospodarstw nadal było znaczne, ich towarowość niska, praca chłopska ciężka, dostęp do edukacji i kultury utrudniony. Proces migracji ze wsi do miasta to oczywiście zjawisko bardzo długiego trwania, ale od połowy lat pięćdziesiątych przyspieszył się on ogromnie. Chłopska młodzież opuszczała masowo wieś (do końca lat sześćdziesiątych średnio ok. 300 tys. ludzi rocznie). Modernizacja gospodarstwa chłopskiego była kosztowna i przygniatała właściciela ciężarem długów.

Państwo starało się ułatwić restrukturyzację rolnictwa: brało na swój garnuszek starych rolników rezygnujących z gospodarstwa, broniło własnej produkcji rolnej przed zagraniczną konkurencją (zdaniem rolników zbyt mało energicznie: to jedna z głównych przyczyn przechodzących ciągle przez wieś francuską wstrząsów socjalnych).

Była już mowa o olbrzymim (do 4%) spadku udziału rolników w populacji zawodowo aktywnej. Nie oznacza to jakiegoś katastrofalnego wyludnienia francuskiej wsi. Ludność miejska, tuż po wojnie stanowiąca tylko niedużą większość (53%), ostatnio (od lat osiemdziesiątych) stanowi ok. 75% i nie zwiększa swej przewagi. Ale na wsi rolnicy to już tylko wyraźna mniejszość populacji. Francuski mieszcuch zaczął boleśnie odczuwać udręki życia miejskiego: hałas, spaliny, tłok, zakorkowane ulice... W rezultacie dobre kilka milionów ludności miejskiej w ostatnich dekadach pojawiło się na wsi. Część zadowolili się posiadaniem wiejskiego drugiego domu, sezonowej *résidence secondaire*; bardzo liczni jednak, zwłaszcza rentierzy i emeryci, przenieśli się na wieś w poszukiwaniu spokoju i poprawy jakości życia. Z kolei wielka część „rdzennej” ludności wsi znalazła zatrudnienie na miejscu – w lokalnym przemyśle i, przede wszystkim, w szybko się wzbogających usługach.

Była już mowa o tym, że w trzydziestoleciu po 1950 r. zarobki robotnicze wzrosły realnie trzy razy. Francuski pracodawca rozumiał już dobrze, jak wielkie znaczenie ma siła nabywcza ludzi pracy dla stabilizacji koniunktury gospodarczej. Ale promocja materialna klasy robotniczej miała i podteksty polityczne. Po olbrzymiej fali strajków u schyłku lat czterdziestych klasy posiadające tęskniły do spokoju społecznego, a polityczna potęga Francuskiej Partii Komunistycznej skłaniała do zademonstrowania, że demokratyczny kapitalizm lepiej zaspokaja potrzeby robotników niż despotyczne systemy komunistyczne.

Owa promocja materialna robotników nie przyszła łatwo i nie była pozbawiona cieni. W latach sześćdziesiątych Francję wyróżniał wśród krajów wysoko rozwiniętych długi czas pracy: 46 godzin tygodniowo. Dopiero socjalistyczny rząd wprowadził w 1982 r. 39-godzinny tydzień pracy; z kolei rząd Jospina dokonał jego skrócenia do 35 godzin. Na swe przyzwoite warunki egzystencji robotnik francuski uczciwie musiał zapracować. Nie ułatwiał mu zadania kiepski, aż do lat siedemdziesiątych, stan szkolnictwa zawodowego. W rezultacie proporcje robotników wykwalifikowanych, wyspecjalizowanych – i pozbawionych kwalifikacji przez długie dekady przedstawiały

się niekorzystnie. Trudne były warunki życiowe robotników rolnych, w niektórych przemysłach – kobiet i robotników cudzoziemskich. Pionowa mobilność społeczna była teraz we Francji większa niż kiedykolwiek przedtem. Ale jej podstawowy instrument, edukacja, w zbyt skromnym stopniu był wykorzystywany przez robotników (zwłaszcza rolnych). Mimo kolejnych reform stan szkolnictwa, osobiście zawodowego, ciągle był przedmiotem krytyk. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dokonał się burzliwy rozwój szkół wyższych. Liczba studentów, w 1961 r. wynosząca zaledwie 230 tys., wzrosła prawie czterokrotnie, co zresztą spowodowało ogromne przeciążenie uczelni. Ale dzieci robotników i chłopów to tylko kilkanaście procent tej wielkiej armii. Tylko 0,8% dzieci robotników rolnych docierało do wyższych studiów, gdy dla dzieci „wolnych zawodów” wskaźnik ten wynosił 80%.

Podstawowym problemem robotników (choć także i „salariatu” pracującego w usługach) stało się bezrobocie. Niewielkie w latach powojennych (w dekadzie lat pięćdziesiątych 200–300 tys. ludzi), gwałtownie wzrosło w drugiej połowie lat sześćdziesiątych przekraczając znacznie liczbę pół miliona. To zresztą jedna z przyczyn wydarzeń z wiosny 1968 r. Ale można jeszcze było pocieszać się, że to rezultat wchodzenia na rynek pracy powojennego wyżu demograficznego, którego potrzeb nie dostrzeżono na czas. Później zrozumiano, że bezrobocie – dramatycznie rosące – ma we Francji, jak we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych, charakter strukturalny. Kolosalna inwencja technologiczna, postęp w organizacji produkcji i zarządzaniu gospodarczym (m.in. koncentracja produkcji, pionowa i pozioma) ogromnie powiększały wydajność pracy i redukowały popyt na siłę roboczą. Nowoczesny kapitalizm jest tym bardziej zainteresowany zmniejszeniem owego popytu, że siła robocza jest przecież bardzo droga ze względu na wysokie płace i rozbudowane programy socjalne. Bezrobociu nie było w stanie zapobiec ani skracanie czasu pracy, ani obniżenie wieku emerytalnego (od 1982 r. – 60 lat), ani – na co bardzo liczono – przemieszczanie siły roboczej z przemysłu do sektora usług. Proces redukcji popytu na żywą siłę roboczą objął bowiem rychło także i ten sektor. Załamała się sformułowana jeszcze przed wojną socjaldemokratyczna i socjalliberalna doktryna, wedle której nowoczesne państwo ma wystarczające instrumenty, by zagwarantować pełne zatrudnienie.

Wskaźnik bezrobocia, który w 1982 r. wynosił 8%, w połowie lat dziewięćdziesiątych wzrósł – jak już wspomniano – do 12,5% populacji produktywnej. Francuzi skłonni są sądzić, że stan, w którym co ósmy człowiek w pełni sił do pracy nie może jej znaleźć – to stan nie do przyjęcia. A bezrobotni klienci opieki społecznej nie postrzegają się w roli pełnoprawnych członków obywatelskiej wspólnoty.

Była już mowa o politycznych konsekwencjach tej sytuacji: o wpływie Frontu Narodowego wśród bezrobotnych, zwłaszcza młodych; o presjach na rządy, tak prawicowe, jak lewicowe, dla których problem walki z bezrobociem staje się testem społecznej akceptacji. Wszelako tradycyjne metody walki

w obronie miejsc pracy, przede wszystkim masowe strajki, nie mają już dawnej skuteczności: spektakularnym na to dowodem było załamanie się wielkiego strajku stalowników lotaryńskich w 1984 r., pod rządami socjalistów. Związki zawodowe w ostatnich dekadach bardzo osłabły. Problem nie tylko w tradycyjnych podziałach i rywalizacjach central związkowych: komunistycznej (nie zawsze ortodoksyjnie) CGT; socjalistycznej Siły Robotniczej; dawnej centrali związków chrześcijańskich, która się radykalizowała i zarzuciła chrześcijańską barwę, zmieniając (1964) szyld z Konfederacji Robotników Chrześcijańskich (CFTC) na Demokratyczną Konfederację Pracy (CFDT). W ostatnich dziesięcioleciach wszystkie związki zawodowe zaczęły systematycznie tracić członków, a więc i siłę przebiecia; coraz bardziej koncentrowały się na obronie interesów nie bezrobotnych, lecz tych robotników, którzy jeszcze pracę mieli.

Mimo wszystko Francja dobrze się zaadaptowała do wymagających standardów nowoczesnego postępu socjoekonomicznego i techniczno-produkcyjnego. Nie utraciła przy tym właściwości, do których Francuzi namiętnie są przywiązani, a które czynią z niej kraj, gdzie ludzie „wiedzą, jak żyć przyjemnie”. Jednakże część światłej opinii zadaje sobie pytanie, czy w koszty tej społecznej mutacji nie należy wliczyć wyraźnego osłabienia innej tradycyjnej chluby Francji: jej świetnej kultury duchowej. Niełatwo odpowiedzieć na pytanie, czy to przejściowa zadyszka, czy może głęboki i długotrwały kryzys kulturowy.

#### STAN KULTURY DUCHOWEJ

Mnożyły się więc w powojennych dekadach lamenty na osłabienie aktywności duchowej Francuzów. Powoływano się przy tym na szczupłą liczbę wielkich osiągnięć literatury, muzyki, plastyki, teatru i filmu; na długą nieobecność Francuzów na listach naukowych laureatów Nagrody Nobla; na przesadny, reklamarski hałas wokół dzieł francuskiej humanistyki, które za wyrafinowanym aparatem terminologicznym skrywały tezy wątpliwe czy też banalne; na słabnący prestiż i sklerotyczność szkół wyższych; na jałowienie wielkich sporów ideowych, które przez kilka wieków były przecież francuską specjalnością. Czyżby miał rację postmodernistyczny filozof Jean-François Lyotard, który ogłasza, że wiodące idee czasów nowożytnych (określane przezeń jako „wielkie opowieści”) straciły bezpowrotnie trwałość i wiarygodność? Miałoby to dotyczyć zarówno różnych wersji idei postępu, ambitnego mniemania o panowaniu nauki i techniki nad naturą, jak i chrześcijańskiej wiary w odkupienie i zbawienie... Gdyby tak było, „rozchwiany” stan duchowy Francuzów dałby się może przypisać procesom charakteryzującym nasz „postmodernistyczny” świat, a nie kryzysowi duchowemu samej tylko Francji.

Należy jednak rzeczowo określić rozmiary tego kryzysu. Prawdą jest, że w latach 1944–1964 nie było Francuzów na listach uczonych noblistów, ale

później sypnęło nagrodami. W 1965 r. francuski zespół (François Jacob, André-Michel Lwoff i Jacques Monod) otrzymał wyjątkowo dobrze zasłużoną Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii. Potem laureatami byli fizycy Alfred Kastler, Felix Néel, Pierre Gennes, Georges Charpak i Claude Cohen, a także chemik Jean-Marie Lehn oraz immunolog Jean Dausset. Nagrody Nobla nie dostają matematycy, ale Francuz Laurent Schwartz ma w tej dziedzinie osiągnięcia najwyższej klasy. Nauki ścisłe cechują się we Francji tą cnotą, że znakomicie potrafią służyć ważnym potrzebom społeczeństwa, a szczególnie gospodarki. Prace techniczno-aplikacyjne skupiają tu wielkie zespoły utalentowanych badaczy. Pozwalało to przewyciężyć tradycyjne we Francji blokady innowacyjności: niezbyt nowoczesną strukturę przedsiębiorstw, indywidualizm Francuzów i ich mentalność bardziej spekulatywną niż pragmatyczną, niedostatki systemu edukacyjnego.

Jest chyba prawdą, że owa spekulatywna mentalność ciążyła nad częścią – szeroko reklamowaną – francuskiej humanistyki powojennej. Sporo aktów strzelistych, którymi w kapliczkach naukowych obdarzano mandyrynów humanistyki, grzeszyło wielką przesadą. Z różnych stron padały niebezzasadne zarzuty demagogii naukowej i sofistyki pod adresem takich „mistrzów intelektualnych” (*maîtres à penser*), jak egzystencjalista Jean-Paul Sartre, nieortodoksyjny marksista Louis Althusser, strukturalista Michel Foucault, dekonstrukcjonista Jacques Derrida... Sartre jest tu dobrym przykładem: był filozofem elokwentnym i sugestywnym, ale sofistycznym i pozbawionym szacunku dla własnych poglądów; poglądów równie apodyktycznych, jak często zmienianych pod ciśnieniem wydarzeń pozanaukowych. To jednak nie oznacza, że wolno lekceważyć cały dorobek owych *maîtres à penser*. Ich prowokacje intelektualne zmuszały nieraz do wartościowej refleksji.

Ponadto wypada pamiętać, że wśród francuskich filozofów ostatnich dekad była plejada myślicieli mniej opiewanych przez reklamę (i autoreklamę), ale kreatywnych i wielostronnych. To na przykład zmarli przedwcześnie: twórca personalizmu Emmanuel Mounier, egzystencjalista Maurice Merleau-Ponty i marksizujący Lucien Goldmann; to Pierre Teilhard de Chardin, fundator chrześcijańskiego ewolucjonizmu, wszechstronny w swych zainteresowaniach Paul Ricoeur, heglizujący Alexandre Kojève. Nie wolno pominąć dorobku antropologii kulturowej (strukturalista Claude Lévi-Strauss, marksista Maurice Godelier). Wciąż byli czynni debiutujący jeszcze przed wojną neotomiści Jacques Maritain i Etienne Gilson oraz filozof nauki Gaston Bachelard. Lamenty nad kryzysem francuskiej kultury filozoficznej są więc chyba znacznie przesadzone.

Nie ma też kryzysu kultury historiograficznej. Twórczo działali po wojnie starzy mistrzowie (Lucien Febvre, Ernest Labrousse, Georges Lefebvre). Tak zwana szkoła *Annales* skupiająca uczniów Febvre’a i Fernanda Braudela inspirowała nowe myślenie o historii i budziła gorące polemiki. W generacji, która debiutowała po wojnie (lub tuż przed wojną), ujawniły się bardzo świetne

talenty: Georges Duby, Jacques Le Goff, Roland Mousnier, Robert Mandrou, Pierre Chaunu, Emmanuel Le Roy Ladurie, Albert Soboul, Henri Marrou...

Dorobek francuskiej socjologii jest może mniej efektowny niż dawniej, ale solidny (Edgar Morin, Gabriel Le Bras, Georges Gurvitch, Pierre Bourdieu...). Socjopsychologię uprawiał twórczo Jean Stoetzel, naukę o polityce Maurice Duverger i René Rémond, psychoanalizę Jacques Lacan, lingwistykę Emile Benveniste, literaturoznawstwo i semiologię Roland Barthes. Łatwo wydłużyć tę listę.

Literacka Nagroda Nobla jest dyskusyjnym kryterium pisarskiej nieśmiertelności, ale odnotować wypada, że po wojnie Francuzi odbierali ją wielokrotnie. Uehonorowani nią zostali André Gide, François Mauriac, Albert Camus, poeta Saint-John Perse (właśc. Alexis Saint-Léger Léger). W 1964 r. przyznano Nagrodę Nobla Sartre'owi, który ma w swym dorobku prozę literacką i dramaty; pisarz demonstracyjnie odmówił jej przyjęcia. W 1985 r. otrzymał ją Claude Simon, prozaik ze szkoły „nowej powieści”.

Największą postacią francuskiej literatury powojennej był i pozostaje tragicznie zmarły (1960) Albert Camus. Debiutował jeszcze przed wojną. Jego dramaty, powieści i eseje górują w sposób oczywisty nad rezonerską literaturą Sartre'a (a te dwa nazwiska po wojnie zwykło się wymawiać jednym tchem). Twórczość Camusa ciągle fascynuje głęboką wrażliwością humanistyczną i szlachetnym moralizmem; jest solidnie osadzona w wielkiej kulturze filozoficznej.

André Malraux porzucił po wojnie powieściopisarstwo na rzecz eseistyki (i polityki). Wnet też obwieszczono „kryzys powieści”. Realizmowi wywodzącemu się z dziewiętnastowiecznej tradycji i ambitniejszym powieściom popularnym (tu niebывały sukces czytelniczy odniosła Françoise Sagan) przeciwstawiono poszukiwania „nowej powieści”. Były to zresztą próby bardzo różnorodne: trudno o wspólny mianownik dla takich autorów, jak Michel Butor, Alain Robbe-Grillet, Nathalie Sarraute. Trudno także przyjąć, że ich przedsięwzięcie przyniosło jakieś trwalsze sukcesy. Czytająca publiczność skłonna była uznawać ich dzieła za manieryczne i pretensjonalne.

Proklamowanie „kryzysu powieści” nie zaszkodziło natomiast powodzeniu prozy, którą czytelnik postrzegał jako „normalną”, co nie musiało oznaczać: mało ambitną (Jean Dutourd, Hervé Bazin, Henri Troyat, Romain Gary...). Sporą poczytność zdobył „kryminalny barok” powieści Jeana Genêta, wielce utalentowanego, długoletniego pensjonariusza zakładów poprawczych i więzień. Świetnie się rozwinął talent Gustave'a Le Clezio.

Lata powojenne nie były jałowe dla poezji. Uznanie cieszyli się starzy mistrzowie: Pierre-Jean Jouve, Jules Supervielle, wspomniany już Saint-John Perse. Twórcy, którzy tuż po wojnie należeli do średniej generacji (Jacques Prévert, Henri Michaux, Raymond Queneau), oraz dużo od nich młodszy Boris Vian przyczynili się niemało do odnowienia poetyckiej ekspresji, bardzo różnorodnej w swym charakterze. Jest to poezja dobrej próby, ale chyba trudno powiedzieć, że mamy tu poezję wielką.



nych gustach, stopniowo jednak jego olśniewający talent zmuszał do poddawania się oponentów. Wnet zresztą się okazało, że nowatorstwo Messiaena nie jest wcale szczytem radykalizmu. Dowiedli tego świetni kompozytorzy, Pierre Boulez („serialista” i „aleatorysta”) oraz Pierre Schaeffer, zafascynowany muzyką „konkretną” wykorzystującą starannie zapisywane na taśmie hałasy i szmery naszej zgiełkliwej, codziennej egzystencji.

W malarstwie nastąpił wyraźny zmierzch dzieł figuratywnych. W latach konfliktów socjalnych i potęgi partii komunistycznej pojawiły się wprawdzie niefortunne próby przeszczepienia na grunt francuski „socjalistycznego realizmu” (André Fougeron); Picasso, powiązany z komunistami, produkował płótna politycznie zaangażowane, ale do sukcesu *Guerniki* było tu bardzo daleko. Frapujące dzieła przedstawieniowe młodego Bernarda Buffeta, mroczne i ekspresyjnie deformujące obraz świata, próbowano tłumaczyć pesymistycznym klimatem pierwszej powojennej dekady. Sztukę malarską zdominowała jednak abstrakcja, często pasjonująca, zarówno w wersji „geometrycznej” (Auguste Herbin), jak „ekspresjonistycznej” (tak zwany *informel*, Georges Mathieu). Sporą liczbę wielbicieli zdobył oryginalny abstrakcjonizm Jeana Dubuffeta, wielce zresztą ekscentryczny. Faktem jest wszelako, że powojenny Paryż nie odzyskał roli stolicy światowego malarstwa; po świetności i różnorodności „szkoły paryskiej” pozostały jedynie wspomnienia.

Rozkwit natomiast przeżywały urbanistyka i architektura. Sprzyjały im najpierw zniszczenia wojenne miast północnej Francji, potem postępy industrializacji i rosnące potrzeby mieszkaniowe coraz zamożniejszego społeczeństwa. Ta koniunktura pozwoliła świetnie zakończyć karierę przedwojennym mistrzom. Auguste Perret, blisko już 80-letni, zaprojektował efektownie odbudowę centrum Hawru i przebudowę Amiens; Le Corbusier mógł sprawdzić w Marsylii swą koncepcję wielkiej jednostki mieszkaniowej, która zaspokajałaby wszystkie potrzeby trzytysięcznego kolektywu – a jednocześnie respektowałaby w pełni indywidualną wolność każdego mieszkańca (La Cité radieuse, 1950). W Boulogne, Caen, Saint-Malo, Calais wyrosły – tak jak w Hawrze – bardzo dobre realizacje urbanistyczne. Pojawiły się frapujące dzieła architektury sakralnej, socjalnej, a także przemysłowej (kompleksy w Lacq, Marcoule, Chinon...). Zmienił się gruntownie dziewiętnastowieczny, Haussmannowski kształt Paryża, co zresztą prowokuje nieustające spory, lamentsy, oskarżenia o niszczenie tożsamości miasta. Potępia się bezwzględność wielkiego biznesu, który „robi z Paryża Manhattan”, a także destrukcyjne ambicje polityków.

To prawda, że „monarchiczna prezydentura” Piątej Republiki sprzyja pragnieniom, by pozostawić po sobie trwały ślad na obliczu stołecznego miasta: to jakby powrót do tradycji „wielkich budowli królewskich” stworzonej przez Henryka IV i Ludwika XIV. Pod rządami de Gaulle’a zaczęła się budowa ultranowoczesnej i mocno niestety zdehumanizowanej dzielnicy Défense. Pompidou patronował olbrzymiemu Centrum Sztuki, które wyrosło w środku zabytkowej dzielnicy Saint-Merri – Beaubourg: złośliwi paryżanie na-

tychmiast dojrżeli w tym gmachu kopię wielkiej rafinerii. Za czasów Giscarda powstało gigantyczne Forum des Halles, kombinat handlowy i rozrywkowy imponujący rozmachem. Jednakże, aby go postawić, należało wyburzyć dziewiętnastowieczne Hale Targowe, dzieło sławnego architekta Victora Baltarda: do owych hal paryżanie ogromnie byli przywiązani. Wreszcie Mitterrand uwiecznił swe długie rządy wieloma „faraońskimi”, jak złośliwie mówiono, budowlami. To m.in. szklana piramida na dziedzińcu Luwru, przez wielu Francuzów przyjęta niemal jak świętokradztwo; ogromny nowoczesny Łuk Triumfalny na czcigodnej osi Luwr – obelisk z Luksoru – Łuk Triumfalny na placu Etoile; olbrzymi blokhauz nowej Opery na placu Bastylli, który zniszczył wspaniałą perspektywę długiej, siedemnastowiecznej ulicy Saint-Antoine. Lamenty paryżan są zrozumiałe; warto jednak pamiętać, że gdy półtora wieku temu Baltard budował swe Hale Targowe, dziś tak opłakiwane, także lamentowano i oskarżano architekta (oraz jego mocodawcę, prefekta Haussmanna) o niszczenie zabytkowej substancji miasta.

Wysoka jakość życia oznacza nie tylko dostęp do masowej konsumpcji i dużą ilość wolnego czasu. To także dostęp do edukacji (nie tylko na szczeblu podstawowym) i do dóbr kultury, a nawet własne, kreatywne działania w sferze kultury. Jednakże sondaże z początku lat siedemdziesiątych ujawniły, że tylko 7% Francuzów próbuje malować, rysować, pisać, rzeźbić czy haftować; że tylko 17% ma w domu więcej niż sto książek; że 38% nie znajduje czasu na czytanie literatury pięknej; że 50% nie chodzi do teatru ani nawet do kina mniej więcej regularnie; że 70% nie było nigdy na koncercie.

Oczywiście zmiana tego stanu rzeczy wiedzie przez wzbogacenie i uszlachetnienie kultury masowej. Rozumieli to dobrze mądrzy ministrowie kultury, André Malraux w rządzie de Gaulle’a, później Jack Lang pod rządami socjalistów. Początki kultury masowej sięgają we Francji jeszcze XIX w., a jej kontakty z kulturą wysoką były wcale rozgałęzione: wybitni pisarze nie gardzili gazetową powieścią w odcinkach, Toulouse-Lautrec tworzył wspaniałe afisze, plakaty i dekoracje dla kabaretów, cyrków i *cafés-concerts*. Nie inaczej jest i w drugiej połowie XX w. Do francuskiej piosenki mającej – jak zawsze – świetnych wykonawców (Georges Brassens, Léo Ferré, Edith Piaf, Belg z pochodzenia Jacques Brel) wdziera się prawdziwa poezja. Teksty śpiewane z estrady czy przez radio wychodziły też spod pióra poetów elitarnych (Prévert, Queneau, Vian). Wybitni kompozytorzy nie gardzą pisaniem dobrej muzyki do popularnych filmów. Znacomici pisarze potrafią napisać dobrą popularną powieść. Zwyczajny zjadacz chleba nie zżyma się już tak pogardliwie na abstrakcyjne malarstwo, bo napotyka jego wpływy codziennie w sztuce użytkowej. Wzornictwo przemysłowe staje się szkołą wysmakowanej kultury plastycznej. Tak więc nobilitacja gustów dokonuje się nieraz niepostrzeżenie, bez natrętnego dydaktyzmu estetycznego.

Ogromną pomocą w kruszeniu barier między kulturą masową i kulturą wysoką są nowoczesne instrumenty kulturowego przekazu. A więc atrakcyjne, lokalne centra kultury – oczko w głowie ministra Malraux. Paryskie Cen-

trum Sztuki imienia Pompidou ma od początku wysoką frekwencję, której pozazdrościć mogą czcigodne muzea – i to nie tylko dzięki napływowi turystów zagranicznych... Do kin studyjnych ustawiają się kolejki młodych ludzi. Tania książka „kieszonkowa” upowszechnia kiepską, średnią, ale i bardzo dobrą produkcję literacką i popularnonaukową. Magnetofon, wideo, płyta kompaktowa sprowadzają do domów dzieła kultury – i wcale nie tylko masowej.

Oczywiście, ogromną rolę odgrywa już od pół wieku telewizja. I od dawna się powtarza, że dzięki niej w ciągu jednego wieczora więcej widzów może obejrzeć tragedię Racine’a niż w ciągu ubiegłych trzech wieków w teatrze. Mądry i zręczny komentator telewizyjny w rodzaju Bernarda Pivot może pobudzać apetyt widza na dobrą literaturę. Zwróćmy jednak uwagę na to małe słówko „może”... Przy ogromnej ofercie programowej współczesnej telewizji kulturze wysokiej nie jest wcale łatwo tworzyć solidne wyspy w oceanie kulturalnej tandety. Rządząca od 1981 r. lewica natrudziła się niemało, by wykorzystać telewizję publiczną jako narzędzie uszlachetnienia kultury masowej. Rezultaty nie były na miarę zamysłów i raczej nie tylko z winy odbiorców... Chyba jednak miałość masowych gustów i kulturalna pasywność ciągle kłóć się z nowoczesnością materialnej cywilizacji i zamożnością Francuzów.

#### U PROGU XXI WIEKU

François Mitterrand dawał do zrozumienia, że pragnie wyboru na drugą kadencję również dlatego, by móc przewodniczyć obchodom dwusetlecia rewolucji francuskiej. Okazało się zresztą, że kłopoty ekonomiczne i niechęć prawicy zmuszą programistów do ograniczenia rozmachu uroczystości: zrezygnowano m.in. z wystawy powszechnej na wzór tej, która uczciła stulecie rewolucji. Jednakże, wbrew oczekiwaniom i na przekór historycznym postawom skrajnej prawicy, jubileusz był spokojny i „ekumeniczny”. Największa partia prawicy musiała przecież pamiętać, że swój znak, krzyż lotaryński, ozdobiła czapką frygijską, a w gaullistowskiej konstytucji z 1958 r. proklamowano solennie przywiązanie do zasad *Deklaracji praw* z 1789 r. Kościół dał do zrozumienia – i we Francji, i w samym Rzymie – że nie chce być pudłem rezonansowym dla hałaśliwej propagandy radykalnoprawicowej przeciw „zasadom 89 roku”. Ponadto w latach osiemdziesiątych rozwinięte już były solidnie badania opinii publicznej i wywierały wpływ na postawy i zachowania francuskich polityków. Otóż, wszystkie sondaże opinii ujawniały, że zdecydowana większość Francuzów pozytywnie (choć w sposób znuansowany) postrzega znaczenie 1789 roku dla dziejów Francji. Większość ta traktuje rewolucję francuską jako *phénomène matriciel*, jako swoistą matrycę współczesnej Francji, nie pozbawionej kłopotów, lecz przecież nowoczesnej, demokratycznej i zasobnej.

Dwusetlecie było też sposobnością do zadawania sobie pytań, jak po dwustu latach, u progu XXI w., przedstawiają się losy przesłania rewolucji, obiecującej Wolność, Równość i Braterstwo.

Stan Wolności we Francji jej obywatele oceniają pozytywnie. Nie sprawdziły się obawy sprzed czterdziestu lat, że Piąta Republika będzie jakąś recydywą autorytaryzmu w bonapartowskim stylu. Instytucje polityczne ustanowione przez de Gaulle'a po prawie pół wieku funkcjonowania wydają się solidne i niewywrotne. Wciąż jednak słychać skargi na elitaryzm sposobu rządzenia, nadmiar biurokratyzmu, brak zrozumienia potrzeb lokalnych. Lepiej przedstawia się Wolność w sensie swobody działań indywidualnych (tu w ciągu ostatnich trzydziestu lat zdziałano naprawdę wiele) niż w sferze współdecydowania o ważnych problemach ponadindywidualnych, o kształtach życia zbiorowego. Socjaliści dali krajowi przyzwoity samorząd terytorialny, ale ich wyobrażenia o *autogestion* szły jednak dużo dalej.

Francja będzie musiała sobie poradzić z innym jeszcze problemem. Od czasów Wielkiej Rewolucji mówiono wciąż o Republice „jednej i niepodzielnej”, słowa „federalizm” czy nawet „autonomia” były wyklęte. I oto coraz częściej się wspomina o potrzebie jakiejś formy autonomii, dla Korsyki czy Bretanii.

W sumie dzisiejsza francuska Wolność jest spokojna, utemperowana, rozsądna; nie stanowi, jak w okresie rewolucji, apelu o to, by żyć heroicznie, nie oczekuje, że trzeba jej będzie bronić na barykadach. Przez dwieście lat od szturmu Bastylli różne formacje pielegnowały we Francji kulturę rewolucyjną: jakobini, babuwiści, konspiratorzy z czasów monarchii restaurowanej i lipcowej, republikanie 1848 roku, komunardzi, anarchiści, rewolucyjni syndykaliści, komuniści... Nurt taki zniknął niemal kompletnie z politycznej sceny od lat siedemdziesiątych. Ostatnim aktem „rewolucyjnego mesjanizmu”, gwałtownym, lecz dość płytkim, był maj 1968 r. Późniejszy krótki bunt licealistów i studentów z grudnia 1986 r. był już tylko wyrazem obaw, że nie znajdzie się dla nich dość szans społecznej promocji. Bo selekcja do elit jest ostra, a nawet sam dostęp do kanałów selekcji nader utrudniony.

To wiedzie wprost do problemu Równości. Sondáže opinii wykazują, że w mniemaniu Francuzów pozostaje ona w tyle za Wolnością. Nie chodzi nawet o to, że wielu ludziom nieuniknione różnice społeczne wydają się zbyt przepastne czy też zbyt słabo uzasadnione. Problem w braku troski o systematyczne wyrównywanie szans i w stosunku „elit” do „mas” postrzegany jako daleki od egalitaryzmu. Elity, jak twierdzą socjologowie, ujawniają tendencję do swoistej koncentracji. Zbliżają się do siebie i ściśle współdziałają elity bogactwa, wielkiego *managementu* i elity polityczne (bonzowie z parlamentu, „baronowie” z partyjnych sztabów, wysocy funkcjonariusze z ministerstw, eurobiurokracja). Grawitują wokół nich wybitni publicyści, tenorzy z radia i telewizji, część intelektualistów obsesyjnie zafascynowana polityką. Koncentracji takiej „wielkiej elity” sprzyja słabnięcie ostrości sporów politycznych i światopoglądowych. Elity zamożności, władzy, technobiurokracji mają

dobrze samopoczucie, przypisują sobie tak wysokie kompetencje, że redukuje to chęć i gotowość składania reszcie społeczeństwa rachunków ze sposobu, w jaki zarządzają życiem zbiorowym. Tak się skupiają na wielkich sprawach europejskich i światowych, że nie starcza im już energii na skuteczne rozwiązywanie wielu trudnych problemów francuskiej prowincji.

Z pewnością bodźcem do większej troski o ludzkie sprawy byłaby pluralizacja i rywalizacja elit. Ale rozważania zatroskanych intelektualistów, jak pobudzić ów pluralizm elit, jak „różnicować formy doskonałości”, nie zapobiegają koncentracji i zamykaniu się elit; ich poczucie wyższości zdaje się trwać w najlepszym.

Nieegalitarne stosunki pomiędzy elitami i „zwykłymi ludźmi” to nie jedynie zagrożenie dla Równości. Nie może czuć się równoprawnym członkiem wspólnoty obywatel skazany na bezrobocie, przy czym wyrok ten jest często długoterminowy. Armia bezrobotnych żyjących z zasiłku odczuwa, że została wypchnięta na margines – i uważa to za obrazę Równości.

Zapewne remedium na osłabienie egalitarnego klimatu mogłaby stanowić masowa partycypacja polityczna obywateli. Ożywia się ona w okresie wyborów; Francuzi przebiegają wówczas w politycznych ofertach jak klienci w supermarkecie. Tradycyjne lojalności polityczne, którymi się żywią partie, stają się mniej trwałe. Znajduje tu ujście przekonanie, że politycy nie radzą sobie najlepiej ze społecznymi problemami (a przecież „od tego oni są, za to im się płaci”). Skoro jednak kolejne „zmiany warty” u steru w wyniku wyborów nie zadowolają obywateli – może receptą byłoby masowe uczestnictwo zwykłych ludzi w życiu publicznym, więcej demokracji bezpośredniej w wymiarze lokalnym.

Niedomiary Równości wywierają zapewne wpływ na deficyt Braterstwa, najbardziej zresztą wymagającego hasła rewolucji 1789 roku. Jak to się dzieje, że we współczesnej Francji znajduje podatny grunt posiew ksenofobii i wręcz rasizmu? Czemu miliony Francuzów głoszą na szowinistyczny Front Narodowy? Oczywiście, działają tu motywacje kulturowe, ekonomiczne, a także obawy przed masową przestępczością. Ale działa także dobrze znany społeczny mechanizm: gdy elity okazują masom arogancję, gdy „wielcy” odmawiają „małym” partnerskiego, egalitarnego traktowania, ci drudzy starają się kompensować swe frustracje. A najłatwiej to zrobić kosztem tych, których uważają za gorszych od siebie – arabskich czy tureckich imigrantów, „przybłędów”. W dusznym klimacie szowinizmu tlenem mogłoby się stać właśnie więcej zrozumienia dla pięknej idei Braterstwa.

Przez kilkanaście lat po jubileuszu Rewolucji debata publiczna nie koncentrowała się na losach wielkich wartości. To znamienne, że po wyborze na drugą kadencję Chirac, miast proponować jakiś program polityczny, mówił o „świecie niepewności i zagrożeń”, wymieniając walkę z wypadkami drogowymi i chorobami nowotworowymi... Trudno nie odnieść wrażenia, że w stabilnej i demokratycznej Francji pojęcie tragedii bardzo się sprywatyzowało. Zagrożenia spędzające Francuzom sen z powiek czyhają na autostra-

dzie i w złej diagnozie lekarskiej, na rynku pracy i przy spotkaniu z uzbrojonym bandytą, podczas powodzi i lawiny, które zabijają beztruskich urlopowiczów, ba, nawet na własnym talerzu z wołowym befsztykiem! Trwa natomiast, wspomniane już wyżej, wyraźnie mniejsze – w porównaniu z innymi społeczeństwami bogatego Zachodu – uwrażliwienie Francuzów na zagrożenia makrospołeczne: wielką wojną, nasyceniem kraju energetyką nuklearną, terroryzmem, negatywnymi następstwami globalizacji...

Być może w miarę słabnięcia namiętności ideologicznych i ostrych różnic między partiami, politycy będą we Francji postrzegani w coraz większej mierze jako *risk managers*, fachowcy skutecznie chroniący obywateli przed ową falą indywidualnych zagrożeń. Taka właśnie rola polityków i instytucji politycznych będzie może rosła w miarę słabnięcia tradycyjnych osłon jednostki. Tracą znaczenie, w społeczeństwie strukturalnego bezrobocia, gwarancje stwarzane przez lojalność i pracowitość zatrudnionych. Nie jest już solidną i trwałą osłoną rodzina: wydłużanie się średniego trwania życia nie sprzyja małżeństwu „póki śmierć nas nie rozłączy”. Liczba rozwodów rośnie, zaskakująco zwiększył się w latach dziewięćdziesiątych (przeszło o połowę) wskaźnik rozwodów wśród małżeństw po pięćdziesiątce. W ciągu czterdziestu ostatnich lat prawdopodobieństwo rozwodu wzrosło czterokrotnie! Wielkie powodzenie mają – uznawane przez prawo – związki partnerskie, z natury rzeczy jeszcze mniej trwałe niż małżeństwa zawarte przed panem merem. Słabnie też inna tradycyjna osłona jednostki, instytucjonalna religia. Tylko co dziesiąty dorosły Francuz deklaruje systematyczne uprawianie praktyk religijnych, kurczy się liczba młodych ludzi odczuwających przynależność do jakiejś tradycyjnej religii, choćby bardzo luźną (jest ich trochę ponad 40%).

Chyba jednak nie byłoby trafne postrzeganie współczesnego społeczeństwa francuskiego jako głęboko zatamizowanego zbioru jednostek chowających się w samotnym egoizmie, oczekujących od państwa tylko minimalizacji indywidualnego ryzyka. Życie samotne nie jest z pewnością ideałem, skoro wraz ze wzrostem liczby rozwodów rośnie też liczba ponownych małżeństw i związków partnerskich: w miejsce małżeństwa „na całe życie” wkracza sekwencja kolejnych związków. Paradoksalnie, ich swobodniejszy charakter postrzegany bywa jako czynnik sprzyjający większej trwałości. Obojętność w stosunku do instytucjonalnych religii idzie w parze z silnym wzrostem tego, co się określa jako *spiritualité*, z poszukiwaniem nowych form przeżycia religijnego, indywidualnych i grupowych.

Ale oto w latach 2003–2004 odrodziła się – z pozoru na tle stosunku Republiki do religii – namiętna debata ideologiczna. Jej pokłosiem była ustawa z lutego 2004 r. zakazująca noszenia w szkołach publicznych ostantacyjnych symboli religijnych. W praktyce chodzi o *hidżab*, chustę noszoną przez uczennice muzułmanki. Laickość Republiki traktowana od dawna była jako rękojmią społecznego pokoju: trudno się temu dziwić w kraju doświadczonym przez straszliwe wojny religijne, przez tak religijne, jak i antyreligijne prześladowania i nienawiści. „Ustawę o symbolach religijnych” popierało ok.

70% ankietowanych obywateli; przeszła w parlamencie miażdżącą większością głosów. Przewodniczący episkopatu Francji, arcybiskup Ricard, stwierdził, że nie jest ona sprzeczna z wolnością religijną. Bo też problemem nie są tu stosunki laickiego państwa z wyznaniem chrześcijańskimi czy też z mozaizmem.

Problemem jest fanatyzm religijno-polityczny części (niezbyt zresztą wielkiej) mniejszości muzułmańskiej. Francja jest największym w Europie skupiskiem muzułmanów (od 4 do 5 milionów ludzi, w zależności od przyjętych kryteriów ich wyróżniania). Od początku drugiej palestyńskiej intifady wielu spośród nich wychwala palestyński terrorizm, fascynuje się zbrodnią z 11 września, demonstruje wrogość wobec zachodniego systemu wartości. Za fanatyzmem religijnym kryje się tu więc fanatyzm polityczny, ale i obyczajowy (brutalny seksizm, pomiatanie kobietami: wiele uczennic muzułmańskich wkłada *hidżab* pod przymusem). Ma to reperkusje większe, niż się wydaje: muzułmańscy uczniowie, często z rodzin bezrobotnych i źle sytuowanych, demonstrują swe frustracje kwestionowaniem „nieislamskich” treści nauczania, zakłócają ład szkolny, biją nauczycieli... Nie są to jeszcze zjawiska masowe, wielu światłych muzułmanów ostro je potępia. „Ustawa o symbolach” wpisuje się wszelako w nurt myślenia, że czas już postawić tamę czemuś, co rodzi wrogość do „wartości republikańskich”, fanatyzuje Arabów, skłania ich do podpalania synagog. Przez bardzo długi czas Francja słynęła z sukcesu łagodnej integracji społecznej, asymilacji narodowej i kulturowej. Dzięki temu francuskimi patriotami stawali się celtyccy Bretonowie, niemieccy Alzaccyzy, włoscy Sabaudzcy, przybysze z Hiszpanii czy Polski... Republikańska szkoła (ale i powszechna służba wojskowa, i partycypacja w demokratycznym życiu publicznym, i wpływy francuskiej kultury) stanowiły *creuset*, tygiel stapiający różne składniki w obywatelską wspólnotę Francuzów, nie niweczącą zresztą ani regionalizmów, ani odmienności kulturowych. I oto po Francji zaczyna krążyć widmo tego, co nazwano „wspólnotowością”, *communautarisme*, to jest perspektywa separowania się od wielkiej wspólnoty izolowanych wspólnot małych, z silnym poczuciem tożsamości i wrogością do innych wspólnot: Arabów, Żydów, Bretończyków, Korsykan... Byłby to kryzys, może katastrofalny, tożsamości francuskiej, rozpalenie się nieobliczalnych w skutkach fanatyzmów. Jakże się dziwić namiętności owej debaty, nawet jeśli niebezpieczeństwo postrzegane jest na wyrost...

Socjologowie francuscy zwracają uwagę na czołowe miejsce, jakie w hierarchii wartości (zwłaszcza ludzi młodych) zdobywa sobie odwaga, potrzebna i na użytek indywidualny, i dla działań grupowych. To budząca nadzieję replika na poczucie rosnących zagrożeń. Do takiej odwagi w obliczu świata zdającego się stawać na głowie wzywał Francuzów, sto kilkadziesiąt lat temu, Alexis de Tocqueville. Francuzom – ale i innym społeczeństwom demokratycznym – w XXI wieku z pewnością będzie potrzebna taka właśnie rozumna odwaga.